

39. Nghwm zaczyna się na C

walijski

Co prawda istnieją wyczerpujące słowniki walijskiego, ale nie na wiele się przydają osobom uczącym się tego języka.

Weźmy na przykład czasownik *bod*. Jedna z jego form to *bôm*, co w sumie niezbyt dziwi. Ale wśród pozostałych form jest *basai* oraz *byddwch*, a dalej są *dydyn*, *dwyt*, *doeddet*, *fasen*, *fyddan*, *mae*, *oeddw*, *roeddech*, *rwyt*, *rydych*, *wyt* oraz *ydw*, których nie znaleźlibyśmy w słowniku, gdybyśmy nie wiedzieli, że trzeba szukać pod *bod*. Ale rzecz jasna, gdy już wiemy, że to warianty czasownika *bod*, nie musimy sprawdzać ich w słowniku, prawda?

Bod to walijski odpowiednik czasownika „być”, który w językach Europy odznacza się nader regularną nieregularnością – „jesteś”, „są”, „był”, „będę” też są do siebie niepodobne. Co więcej, część walijskich form przytoczonych powyżej nie jest aż tak kapryśna, jak się wydaje. Cechuje je pewna logika, choć nieuchwytna dla postronnych. A to znowuż nie jest ewenementem. Czy osoba nieznająca polskiego wpadłaby na to, żeby wyrazu „szedł” szukać pod *i*?

Żadne z powyższych nie zmienia faktu, że repertuar walijskich form wyrazowych jest zdumiewająco bogaty. Załóżmy, że przeczytaliśmy słowo *nghymoedd*. Próżno szukać go

w słowniku. Naturalnie dlatego, że to liczba mnoga, a formy liczby mnogiej nie mają w nim osobnych haseł. Ostatnie litery, *-oedd*, to często spotykany wskaźnik liczby mnogiej w walijskim, ale w tym wypadku formę liczby mnogiej tworzy się nie tylko poprzez dodanie końcówki do formy liczby pojedynczej – wymianie ulega też samogłoska. W liczbie pojedynczej samogłoską jest nie *y*, lecz *w* [sic!], wymawiane jak [u]. Szaleństwo, prawda? Zaraz... w angielskim też przecież mamy *man/men* albo *goose/geese*.

Dobrze: jeśli odetniemy sufiks *-oedd*, a *y* zastąpimy literą *w*, otrzymamy *nghwm*. Tego też jednak raczej nie ma w słowniku. Czemu? Bo *nghwm* szukać trzeba pod *cwm* („dolina”, a ściślej: „kar”, „kocioł lodowcowy”) – wyrazem, który z *nghymoedd* łączy, bagatela, jedna literka. *Nghwm* i *cwm* to różne wersje tego samego słowa, a *nghymoedd* to liczba mnoga obydwu. Cierpliwości, zaraz wszystko się wyjaśni. Swoją drogą, walijski wcale nie ma patentu na osobliwe formy liczby mnogiej. Na przykład Rosjanie mówią *uši*, a nie *uha*, jak można by się spodziewać po jego liczbie pojedynczej *uho* („ucho”). Francuzi, zamiast dodać *s* do *œil* („oko”), żeby utworzyć pluralis, mają *yeux*, a w angielskim, o czym też warto pamiętać, „myszy” to *mice*, a nie *mouses*. A dawno, dawno temu liczba mnoga *cow* („krowa”) brzmiała *kine* – nie dzieliły zatem ani jednej wspólnej litery.

Specyficznie walijskie – czy raczej specyficznie celtyckie – są natomiast zmieniające się spółgłoski na początku wyrazów. Dzieje się to wedle ustalonego schematu: rzeczowniki i przymiotniki, których początkowe spółgłoski ulegają wymianie, czynią to zgodnie z regułami. Te zaczynające się na literę *c* zachowują się jak *cwm*, te na literę *p* robią to samo co *pont* („most”) i tak dalej. Cały system nie jest jednak

prosty. *Cwm* ma trzy „mutacje” (fachowe określenie): słabą formę *gwm*, nosową *nghwm* i przydechową *chwum*. Również *pont* ma ich trzy: *bont*, *mhont* i *phont*. Niektóre inne wyrazy mają tylko dwa warianty, jeszcze inne tylko jeden – albo żadnego. Wszystko zależy od głoski początkowej.

Można by się spodziewać – tak przynajmniej było ze mną – że każda z różnych form będzie obsługiwała jedną odrębną funkcję. Gdyby tylko było to takie proste. Formy słabej na przykład używa się w wyrazach rodzaju żeńskiego, gdy poprzedza je rodzajnik określony *y* (odpowiednik angielskiego *the*). *Pont* jest rodzaju żeńskiego, więc „[ten konkretny] most” to *y bont*. Ale już *cwm* odpowiada rodzaj męski, więc „[ta konkretna] dolina” to będzie *y cwm* – w formie podstawowej, nie miękkiej (jak w tytule walijskiej opery mydlanej emitowanej od 1974 roku, *Pobol y Cwm*). Jeśli przed rzeczownikiem stoi liczebnik „jeden”, to znów tylko wyrazy rodzaju żeńskiego przyjmują formę słabą, ale po liczebniku „dwa” czynią to zarówno te rodzaju męskiego, jak i żeńskiego. Po *dy* („twój”) następuje forma miękka, po *fy* („mój”) forma nosowa, a po *ei* przydechowa, gdy *ei* znaczy „jej”, ale słaba, gdy słówko to znaczy „jego”. (Sprawdziłem to przed chwilą, zapisałem sobie i szczerze, już wyleciało mi z głowy. Zostało uczucie zamroczenia). Tak to arbitralne reguły się nawarstwiają, jedna na drugiej. A nie tknęliśmy nawet czasowników, które mają własne porządki w chaosie, z którego wylaniają się te wszystkie warianty *bod* wspomniane na początku tego rozdziału.

Dlaczego to wszystko musi być takie trudne? Te innowacje mają ułatwić nam porozumiewanie się, w rezultacie – i tu paradoks – dają jednak karkołomny zestaw reguł.



Co powiesz na *byrgyrs*, *cebabau* albo *pitsas*?
W walijskim nie wszystko jest trudne.

Innowacja pierwszego typu pojawia się, gdy mówiący zmieniają niektóre głoski w swoim języku, żeby ułatwić sobie ich artykułowanie. Dzieje się to nieustannie i we wszystkich językach. W angielskim, na przykład, większość imiesłów wymawiała się niegdyś z *d* na końcu i z tego też powodu nadal zapisujemy je przez *d*. We współczesnej wymowie wiele z tych *d* uległo ubezdźwięcznieniu do [t] pod wpływem poprzedzającej je głoski bezdźwięcznej: *faced* rymuje się dzisiaj z *waste*. I odwrotnie, *t* może w niektórych pozycjach być wymawiane w sposób zbliżony do [d]. W brytyjskiej angielszczyźnie raczej się to nie zdarza, ale w odmianach amerykańskiej i australijskiej stanowi normę, przez co dziesiątki par wyrazów, takich jak *metal* i *medal*, brzmią identycznie.

Druga z tych zmian fonetycznych też zaszła w walijskim na bardzo wczesnym etapie jego rozwoju: słowo *catena*,

zapóżylenie z łaciny, oznaczające „łańcuch”, przeobraziło się w *cadwyn*, z literą *d*. Dawni Celtowie robili to nawet ponad granicami międzywyrazowymi: w wyrażeniu *tabarna teka* („uczciwa gospoda”) bezdźwięczne [t] w słowie *teka* przeszło w dźwięczne [d] pod wpływem sąsiednich samogłosek. (Samogłoski to świetni udźwięczniacze spółgłosek – co tłumaczy, dlaczego *metal* może brzmieć jak *medal* w Stanach i Australii, a Walijszczyki zmienili *t* w wyrazie *catena* na *d*). Naturalnie nic takiego nie działo się, kiedy wyraz taki jak *teka* pojawiał się na przykład po *eskopos* („biskup”), bo po bezdźwięcznym [s] na końcu wyrazu równie bezdźwięczne [t] jest dziecinnie łatwe do wymówienia: *eskopos tekos* (końcówka *-os* w miejscu *-a* jest uwarunkowana gramatyką, trochę jak w łacinie). Zauważmy jednak, że to tylko przykład: podobnym zmianom uległo całkiem sporo innych spółgłosek, o czym zaświadczyły nam już *cwm* i *pont*.

Teraz wkracza innowacja numer dwa, która sieje jeszcze większy zamęt: opuszczanie nieakcentowanych końcówek wyrazów. To też nic niespotykanego – zarówno angielski, jak i francuski robiły jota w jotę to samo. Słowo *good*, by wspomnieć tylko jeden spośród wielu tysięcy przykładów, miało z dziesięć form, w tym *gode*, *godne* i *godum*, zanim ostrugano je, że tak powiem, do ich istoty (zgodzicie się chyba, że wyszło mu to na dobre). A gdy łacina przekształcała się w język francuski, stary wyraz *bonus* (też oznaczający „dobry”) wyewoluował w *bon* – Francuzi zresztą ogólnie lubili ucinać końcówki. Nie trzeba mówić, że zmiany te dalece uprościły angielski i francuski, zatem znacznie ułatwiały porozumienie. Jak w angielskim i francuskim, tak też w walijskim: *tabarna* i *teka* zgubiły końcowe *a*, by zmienić się w *tafarn* i *teg*. Teraz moglibyśmy oczekiwać, że skoro

tafarn kończy się na spółgłoskę, to „uczciwa gospoda” będzie od tej pory po prostu *tafarn teg*. Ale po wiekach wymawiania *teka* przez [d], z powodu poprzedzającego je [a], Walińczycy przywiązali się do tej formy i tak „uczciwa gospoda” zyskała brzmienie *tafarn deg*. Jakby *d*, przyniesione falą przypływu, po odpływie osiadło na plaży. W innych sytuacjach, tam gdzie rzeczownik nie kończył się na samogłoskę (jak w *eskopos*), Walińczycy nie byli skłonni wymawiać *t* jako [d]. Teraz, po oheblowaniu wyrazów z końcówek, z *eskopos tekos* zrobił się *esgob teg*: multum zmian, ale stare *t* zostało na swoim miejscu. Znów to tylko przykład – mutacje łądowały w najprzeróżniejszych zakątkach plaży.

Pora na innowację numer trzy, która dokończy dzieła, wprowadzając w mutacje większą „logikę”. I znowu: dzieje się to we wszystkich językach naturalnych – wystarczy spojrzeć, jak angielski pozbył się prawie wszystkich „nielogicznych” form liczby mnogiej (*eyen, namen, kine*), zostawiając najwyżej garstkę dziwadełek w rodzaju *men* albo *sheep*. Zgodnie ze starymi, zawiłymi zasadami walijskiego czasowniki powodowały mutację w jednych rzeczownikach, a w innych nie. Obecnie dopełnienie bliższe w zdaniu na ogół ulega mutacji, a podmiot nie. Tak jest zdecydowanie łatwiej, ale ma to też swój minus: te zmiany przestały służyć ułatwianiu wymowy. No i oczywiście wiele rzeczowników w ogóle im nie ulega, bo to zależy od pierwszej litery (pamiętasz?), a często też od rodzaju gramatycznego.

Wielka mi rzecz, powiesz. Dopóki ludzie nie zapominają języka w gębie, nie muszą chyba wiedzieć, dlaczego jego gramatyka jest taka, a nie inna, ani skąd się wzięła? Rzeczywiście, ale skutki całej sekwencji ulepszeń w walijskim

są takie, że jego gramatyka zmienia życie uczących się go jako drugiego języka w istne piekło, a zasady, którymi jest naszpikowany, trącą absurdem.

Tudzież, skoro mowa o walijskim, *bhezsensownych*, *phezsensownych* albo *mhezsensownych*. A, i obejmijmy modlitwą walijskich leksykografów. Phiedni bechowcy.



Walijskie korzenie „pingwina”, jak pierwotnie nazywano alki olbrzymie, są sporne. Z pewnością z walijskiego pochodzi corgi, a może i flanela.



Cwtch – schowek albo szafka pod schodami. Słowo to, co ciekawe, znaczy też „przytulenie”.